

Nasze powroty

Konwersatorium



Nasze powroty

Konwersatorium

ZIEMIA I NIEBO

*Tyle tu było krzyku,
krzyczały samoloty i ogień i rozpacz,
krzyczało do chmur
uniesienie.*

*Teraz milczy
ziemia i niebo.*

Anna Świrszczyńska

FUNDACJA
Moje Wojenne Dzieciństwo

WARSZAWA 2005



Koncepcja wydania i dobór wierszy
Eulalia Rudak

Zdjęcia:
ze zbiorów Stanisława Soszyńskiego, Łukasza Blikle

Materiały pochodzą z informatora wystawy:
Gdzie mój dom, gdzie moje miasto

Edycja ukazała się dzięki wsparciu finansowemu:
– Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych
– Ministerstwa Polityki Społecznej – Fundusz Inicjatyw Obywatelskich FIO
– Miasta Stołecznego Warszawy
– Fundacji „Polsko-Niemieckie Pojednanie

pomocy organizacyjnej:
– Centralnej Biblioteki Rolniczej
– Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych Warszawa Śródmieście

© FUNDACJA "MOJE WOJENNE DZIECIŃSTWO"

ISBN 83-918451-4-1

Spis treści



Warszawskie powroty 6
Jacek E. Wilczur



...któż lzy powróci? 15
Eulalia Rudak



Powrót do życia 24
Stanisław Soszyński



Powrót z Syberii 33
*Rozmowa Haliny Cienkowskiej
z Siostrą Marią Zofią Wilkówną*



PTAKI SPALONEJ WARSZAWY

*Ptaki, spalonej Warszawy świadkowie,
lecą i płaczą w stulecie – pustkowie.*

*Prawda w ich dziobie jest ździebkiem słomy,
w słońcu wydłuża się cień ich ruchomy.*

*Córka Warszawy patrzy na nie bosa,
a one gniazd nie uwiją w jej włosach.*

*Ptak, co cierniowi w jej stopie zazdrości,
śpiewa w powietrzu o mieście miłości.*

*Na ziemi cegły układając człowiek
buduje miasto, które zna spod powiek.*

Adam Ważyk

Warszawskie powroty

Męczeństwo dziecka polskiego i żydowskiego w latach drugiej wojny światowej w dwóch obszarach zaboru i eksterminacji – w strefie niemieckiej i sowieckiej oraz na Wileńszczyźnie, w tzw. Generalnym Komisariacie Litwy, znane jest w miarę dokładnie, najslabiej dzieje Wileńszczyzny i terror litewskiej policji, wojska i administracji. Bogata jest dokumentacja męczeństwa i zagłady polskiego dziecka na dawnych Kresach Wschodnich RP, dokumentacja odnosząca się do niespotykanych wcześniej w Europie okrucieństw i masowych zbrodni popełnianych przez ukraińską policję pomocniczą na usługach Niemców, przez formacje tzw. Ukraińskiej Armii Powstańczej, przez ukraińską ochotniczą 14 Dywizję SS Galizien – Hałyczyna.

Według obliczeń historyków zajmujących się problemem strat narodowych polskich w latach drugiej wojny światowej, na ogólną liczbę obywateli naszego kraju – sześć milionów, którzy ponieśli śmierć, dwa miliony przypada na dzieci, głównie na okupowanych przez Niemców ziemiach polskich i w Niemczech oraz na nieludzkiej ziemi – w imperium sowieckim.

Rabunkiem polskich dzieci przeznaczonych do germanizacji zajmowała się specjalnie dla tego celu powołana organizacja w łonie SS pod nazwą Lebensborn – źródło życia. Zrabowanym dzieciom zmieniano biografie, imiona, nazwiska z polskich na niemieckie, daty i miejsca urodzenia, imiona i nazwiska rodziców – z polskich na niemieckie. Po okresie przystosowania do nowych warunków, przekazywano je bezdzietnym rodzinom niemieckim oraz do specjalnych ośrodków podległych SS.

W niemieckich domach oraz w tych ośrodkach stosowano rodzaj prania mózgow, wychowywano je w duchu niemieckim, hitlerowskim, dbano o to, ażeby dzieci zapomniały ojczystego języka, swoich rodziców i rodzeństwa. Im młodsze były te dzieci w dniu porwania ich, im mniej posiadały

świadomości, tym większa była szansa na wyprodukowanie nowych „janczarów”.

Nie zawsze się to jednak udawało. Starsze dzieci mimo zakazów i dotkliwych kar, używały języka polskiego, modliły się po polsku, zdarzały się próby ucieczek z niemieckich domów i ośrodków.

Zbrodnicza działalność SS w dziele porywania i przymusowej germanizacji dzieci obejmowała wszystkie okupowane przez Niemców kraje europejskie. Dla przykładu – na terytorium Norwegii organizacja SS Lebensborn uruchomiła dziewięć zakładów położniczych i opieki nad dziećmi norweskiej narodowości w celu ich zniemczenia i pozyskania ich w przyszłości dla SS.

Na polecenie Himmlera, szef Lebensbornu Max Sollmann skierował do odpowiednich placówek wychowawczych SS dzieci z czeskich Lidic, sieroty po wymordowanych przez SS rodzicach.

Mimo upływu wielu dziesiątków lat od zakończenia drugiej wojny światowej, nie najlepiej przedstawia się nasza znajomość problemu powrotów po klęsce Niemiec, dzieci ocalałych z pożogi i zagłady, z miejsc wygnania, z obozów niemieckich i sowieckich, z miejsc przymusowego osiedlenia.

Ocalone z zagłady dzieci polskie wracały do ojczyzny ze wszystkich kierunków geograficznych – z zachodu, z Niemiec, Austrii, Alzacji, z bezkresnych obszarów imperium sowieckiego. Wracały z rodzicami, opiekunami a nierzadko zupełnie samotnie. Wracały z sowieckich kolchozów i sowchozów, z domów dziecka, z miejsc przymusowego osiedlenia w europejskiej i azjatyckiej części imperium Stalina i NKWD.

Powracające dzieci kierowano do miejsc ich urodzenia i zamieszkania przed wywózką. Tak było w przypadku dzieci pochodzących z obszarów, które znalazły się w granicach odradzającego się państwa polskiego po lipcu 1944 r. Dzieci pochodzące z dawnych Kresów Wschodnich RP, o ile wracały bez rodziców, rozmieszczane były przejściowo w domach opieki na obszarze całego kraju a w późniejszym okresie przenoszone do miejsc stałego pobytu. Wiele dzieci, których rodzice zginęli w latach wojny, znalazło przybranych rodziców.

Tragiczna była sytuacja powracających dzieci, które przed wybuchem Powstania Warszawskiego zamieszkiwały w lewobrzeżnej części Warszawy, bowiem ta część miasta w 85 procentach leżała w gruzach. Bez porównania w lepszej sytuacji znajdowały się dzieci z dzielnic Warszawy prawobrzeżnej – z Pragi, Targówka, Grochowa. W tej części

miasta Niemcy zdławili Powstanie w ciągu dwóch dni, wobec czego prawobrzeżna Warszawa nie uległa zniszczeniu bombami, nie było tu masakry podobnej do tej, po drugiej stronie Wisły.

Nie sposób w jednym artykule niewielkich rozmiarów wyczerpać bardzo rozległy temat jakim jest problem powrotów do Warszawy ocalałych dzieci i dziś zamierzamy jedynie ukazać niewiele przykładów tych powrotów na ruiny swojego miasta.

W krótki czas po zakończeniu wojny w Europie, powołany został w Polsce Urząd Pełnomocnika do Spraw Rewindykacji Dzieci. Celem działania tego urzędu było Zorganizowanie akcji odzyskiwania polskich dzieci wywiezionych w latach wojny i okupacji do Niemiec oraz dzieci urodzonych przez Polki, które pracowały przymusowo w Niemczech. Urząd o którym mowa zapewniał odzyskiwanym dzieciom pomoc i opiekę a korzystał w swej działalności z poparcia i aktywnej pomocy placówek Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, Polskiego Czerwonego Krzyża, ze strony Kościoła i Caritasu.

Kiedy w roku 1945 ustanowiono w powołanym do życia Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej Urząd do Spraw Rewindykacji Dzieci z obszarów okupowanych przez aliantów Niemiec, delegaci urzędu ruszyli do czterech stref okupacyjnych – amerykańskiej, brytyjskiej, francuskiej i sowieckiej w poszukiwaniu dzieci. Polskie misje, przedstawiciele Urzędu Pełnomocnika do Spraw Rewindykacji Dzieci, nie natrafiały na trudności ze strony sowieckich władz okupacyjnych w strefie wschodniej, a wręcz przeciwnie, korzystały z pomocy tych władz. Natomiast trudności stwarzały niemieckie rodziny, które otrzymały te dzieci w darze od SS, niemieckie urzędy i parafie, głównie w strefach zachodnich.

Zachowane relacje, wspomnienia, protokoły PUR, PCK i innych instytucji i organizacji zajmujących się w okresie od lata 1945 r. do lat 1947–1948 sprawami repatriacji i pomocy powracającym do Polski dzieciom, pozwalają na odtworzenie obrazu tamtych lat i wydarzeń, pozwalają na ukazanie losów warszawskich dzieci.

Ania Morawska wracała transportem zorganizowanym przez Urząd do Spraw Rewindykacji Dzieci, we wrześniu 1945 r. Wprost z miejsca gdzie transport dotarł, na krzyżówce Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej, poszła z koleżanką Agatą, której nazwisko nie zachowało się, na ulicę Barską, gdzie mieszkała z rodzicami i rodzeństwem do wybuchu Powstania. W kamienicy mieszkali nowi lokatorzy poza jednym, kolejarzem Wroniszewskim. To on powiedział

Ani, że jej rodzice od których ją odłączono przy wywózkach, zostali rozstrzelani przez SS-owców.

Krzyś Zabłocki, lat 10, wracał z brytyjskiej strefy okupacyjnej. Matka, z którą wywieziono go po upadku Powstania, zginęła od alianckiej bomby w połowie października 1944 r., ojciec zginął w partyzantce w Armii Ludowej na Lubelszczyźnie.

W lipcu 1945 r. wrócili z Wupertalu bracia – dwunastoletni Maciek i czternastoletni Antoni Zawadzcy. W Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 41, w miejscu gdzie przed 1 sierpnia 1944 r. stał ich dom, zobaczyli szkielet domu i gruzy na wysokość piętra. Przygarnęli ich obcy ludzie na Grochowie, a rodziców nigdy już nie odnaleźli. Z relacji naocznych świadków ocalałych z Powstania dowiedzieli się, że rodzice zginęli pod gruzami w końcu sierpnia 1944 r. a ciała zostały spalone na stosach przez Verbrennungs Kommando Warschau – specjalne grupy niemieckie zajmujące się spalaniem zwłok wymordowanych Polaków.

Zdarzyło się w 1946 r., że dwoje pełnomocników z terenu Katowic, Urzędu do Spraw Rewindykacji Dzieci, w czasie poszukiwań w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec, dzieci pochodzących ze Śląska, natrafiło na ślad pięćoosobowej grupy dzieci pochodzących z Warszawy, które zostały tu przywiezione w 1943 r. po rozstrzelaniu ich rodziców w publicznej egzekucji w Alejach Jerozolimskich.

Owi pełnomocnicy – Jadwiga Makowiecka i Roman Hrabar zaopiekowali się ową pięćoosobową grupą z Warszawy. Zorganizowali im opiekę w brytyjskiej strefie, w mieście Osnabrück, pobyt w szpitalu dla trojga z nich, a w styczniu 1947 r. zorganizowali powrót całej grupy do Polski.

Wrócili wówczas – Anna Sieradzka – lat 11, Andrzej Regulski – lat 8, Halina Wyrwicka – lat 9, Ireneusz Maćkowski – lat 10, Wojciech Jastrzębski. Jedynie Halina Wyrwicka i Ireneusz Maćkowski odnaleźli swoich bliskich, którzy się nimi zaopiekowali. Pozostałych przygarnęli obcy ludzie i udzielili im schronienia, i pomocy do czasu, kiedy władze Warszawy zapewniły im stałą opiekę i dach nad głową.

W późniejszych latach, już po zakończeniu akcji rewindykacyjnej polskich dzieci zrabowanych przez SS i niemieckie urzędy, bardzo rzadko zdarzały się przypadki powrotu dzieci z Niemiec i Austrii.

Pochodzący z Warszawy Alojzy Twardecki po porwaniu go z Polski, otrzymał w Niemczech fałszywą metrykę na nazwisko Alfred Hartmann i do 16 roku życia uważał się za Niemca. Jego ojciec, polski oficer, zginął w kampanii wrześ-

niowej 1939 r. W ponad 20 lat po zakończeniu wojny został odnaleziony przez swoją matkę i wrócił do niej do Warszawy.

* * *

Z ogromnej ilości zrabowanych przez Niemców i przeznaczonych do germanizacji dzieci polskich, udało się odzyskać po wojnie zaledwie znikomą część. U większość tych dzieci uległa kompletnemu zanikowi świadomości swojego pochodzenia, znały one już tylko język niemiecki a ich przybrani rodzice – Niemcy ukrywali po wojnie prawdę o przysposobionych dzieciach polskich, białoruskich, innych narodowości, zagrabionych przez SS.

Po klęsce Trzeciej Rzeszy nie było problemu powrotu do Polski dzieci żydowskich, bowiem skazane przez Hitlera i kierownictwo państwa niemieckiego na totalną zagładę, zostały unicestwione wraz ze swoimi rodzicami i rodzeństwem w ośrodkach zagłady na terenie okupowanej Polski, Niemiec i innych krajów. Do Polski wracały jedynie te dzieci żydowskie, które ocalały na terytorium sowieckim, na zapleczu frontu. Chociaż i tam ginęły one na zesłaniu, na równi z polskimi dziećmi w europejskiej i azjatyckiej części Związku Sowieckiego, w wyniku głodu, zimna, chorób i braku opieki lekarskiej.

W sumie, w okresie od połowy 1941 r. do 1944 r. Niemcy wprowadzili ponad 200000 dzieci polskich, które wywieźli do Niemiec, Austrii, Alzacji w celu ich germanizacji. W okresie powojennym z tej liczby zdołano odnaleźć i zwrócić Polsce nie więcej niż 15–20 procent. Pozostałe nigdy już nie powróciły do swojej ojczyzny, do swoich rodzin. Zdecydowana ich większość, te które wydarto polskim rodzinom w niemowlęctwie lub w wieku 1–5 roku życia, nigdy nie dowiedziały się od swoich przybranych niemieckich rodziców prawdy o swoim pochodzeniu i zostały dla Polski utracone.



PSALM (fragment)

*O miasto ukochane,
Ulico bojem zryta...
Oko wciąż nową ranę
W kamieniach twoich czyta.*

*Obok placu Krasińskich
Armaty w getto były.
Grzebieniem ognia błyskał
W tych ścianach każdy wylom.*

*Zakrzepili, groźni ludzie
Tu patrzą zimnym wzrokiem.
Czas dusze im wystudził
I twardym przykrył mrokiem.*

*Nadpływa strzałów wrzawa
Wraz z dymem z Muranowa:
Dołem jak mgła sinawa,
Górką jak chmura płowa.*

*O słońce wyrzynanych,
Dzieci zrzuconych w ogień,
Krwi brudnej krzepniesz plamą
W brązowym dymie trwogi.*

*Madonna mazowiecka,
Z rozpaczy pełnym licem,
Jak zatroskana mieszcza
Patrzy z Freta ulicy.*

*Stoi za szkłem we wnęce
Na wprost rosnącej łuny:
Bezradnie trzyma ręce,
Wypadły z rąk pioruny.*

*Na ziemię opuściła
Te gromy jeszcze wcześniej,
Gdy w pierwsze bruk mogiły
Ubierał krwawy wrzesień.*

*Gdy ludzie kamienieli,
Warszawskim Matkom Boskim
Tak wielu pierś przestrzelił
I trafił w serce pocisk.*

*Mocna miłości wieżo,
Nad mrok nieczuły, gruby
Przyświecaj swym żołnierzom
W dopustu dni i próby.*

*Miodowa. Strzęp attyki:
Pół trąby trzyma anioł.
Runęły palacyki,
Mieszkańców gruz przywalił.*

*Fragment wewnętrznej ściany,
Znowu ściana bez domu,
I cudem zachowany
Plakat przez dym szerniony.*

*Już czwarty rok butwieje,
Nie zdarł go deszcz ni płomień,
I plakat – świadek dziejów,
Ciągle woła: – „Do broni!”*

*Za kolumną ruina:
Dziś widać z miejsca tego
Nad wzgórzami rozwalin
Z mieczem Króla Polskiego,
Szwedów, Gotów, Wandali.*

*Zamek z ciała odarty,
Husarze i kominy
Śpiewają nad nim warty.*

*Pół kamienicy wnętrza:
Niebo widać na przetrzał,
Kafłowy piec na piętrze,
Gdzie wrona się zagnieżdża.*

*Ponad sklepu wspomnieniem
Trawa weszła na schody,
Dziki się chwast rozplenia
I pęd jesionu młody.*

*O miasto wielkie! Teraz
Tyle z ciebie zostało?
Pamiętasz w parkach, skwerach
Natchnionych walką ciała?*

*Groby na placach, rogach:
Krzyże, czapki i hełmy;
Ponad nimi krok wroga
I śpiew zwycięski, pełny?*

*Teraz leżą już wszyscy
Na wojskowym cmentarzu.
Gałęzie drzew tam liśćmi
Żałobny rapsod gwarzą.*

.....

Jerzy Zagórski

EULALIA RUDAK

...któż lzy powróci?

6 sierpnia 1945 roku – dzień pogodny, ciepły – nasze powroty.

Jestem w mieszkaniu na facjacie, na ul. Krzyżanowskiego 43. Żona mojego ciotecznego brata Bolka, zajęła tę facjatę – dawną pralnię w niewykończonym budynku. Po wojnie w Warszawie nie było mieszkań. Nie ocalało żadne z mieszkań rodziny. Na Wolskiej 11 przed Powstaniem Warszawskim mieszkała siostra mojego ojca Leokadia. Miała męża Władysława i dwóch synów Eugeniusza – 26 lat i Bolesława – 23 lata. Żaden z nich nie wrócił. Wujek Władysław zginął w Królewcu. Gieniek – sportowiec klubu „SKRA” zmarł w Krakowie, nie wytrzymał trudów jazdy w ciężarówce na łóżku, na którym wyniesiono go z mieszkania domu podpalonego przez Niemców, a potem zburzonego. Gdyby sąsiedzi z narażeniem życia nie wynieśli Gienka, spaliby się w mieszkaniu. Nie mógł chodzić, bo po przesłuchaniach i torturach w Gestapo na Szucha zapadał coraz bardziej na zdrowiu, miał odbite nerki i płuca, oraz ciężkie schorzenia jelit. Drugi syn ciotki Łodzi Bolek – też „skrzak” ożenił się z koleżanką klubową Alicją. Przed Powstaniem mieli kilkumiesięcznego syna Jurka, który urodził się 4 stycznia 1944 roku. Bolek, uczestnik Powstania, po opanowaniu przez Niemców Woli dostał się do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Przed zakończeniem wojny, pędzony wraz z innymi więźniami przed nadchodzącym frontem padł z krańcowego wyczerpania. Niemiec z eskorty dobił go. Żona Bolka Ala z dzieckiem została wywieziona na wieś. Po wyzwoleniu Warszawy wróciła i zajęła na strychu pomieszczenie, w którym był pochylony sufit z wystającymi belkami, o które uderzało się często głową, podłoga była z betonu. Z podłogi z boku wystawała otwarta rura kanalizacyjna, przykrywaliśmy ją pokrywką od kanki znalezionej w gruzach. Ala, wraz ze swoją matką i siostrą Wiesią, w rogu pomieszczenia ulepiła z gliny i cegieł kuchnię, na

której można było gotować. Mieszkanie tak przystosowane miało około 24 metry kwadratowe, obok był strych i jedno malutkie mieszkanie zajmowane przez inną rodzinę. W tej facjatce mieszkała Ala z dzieckiem Jurkiem, jej matka i siostra czternastoletnia Wiesia. Ojciec Ali zginął w Powstaniu Warszawskim. Mieszkanie ich wprawdzie ocalało, ale już zajęła je inna rodzina. Do mieszkania na facjatce dołączyła teściowa Ali, moja ciocia Celejewska, która po Powstaniu była wywieziona na roboty do Niemiec, a po zakończeniu wojny wróciła. Po powrocie nie miała już domu, bo ten na Wolskiej 11 leżał w gruzach. Mieszkanie Ali i Bolka na Okopowej 22a było zniszczone i wypalone.

Gdy 1 maja 1945 roku wróciliśmy do Warszawy z obozów koncentracyjnych (Auschwitz-Birkenau i Sachsenhausen-Blankenburg) z ciocią Jadzią, siostrą mojego ojca, (moja mama już nie żyła – została zamordowana na Pawiaku w 1941 roku, miała wtedy 34 lata), grupy ludzi szły ulicą Wolską z chorągiewkami biało-czerwonymi. Zapytałam jedną panią co to jest? Powiedziała, że wraca z pochodu pierwszomajowego. Zapytałam czy wolno już nosić biało-czerwone chorągiewki? Usłyszałam „tak, przecież to już Polska”. Siadłam na kamieniu na ul. Wolskiej przy ul. Bema i z radości że „już wolno” rozplakałam się. Miałam wtedy 13 lat. Po chwili szliśmy dalej szukać mieszkania, rodziny. O naszym domu na Kaczej 20 wiedzieliśmy, że został spalony i zburzony. Taką wiadomość do obozu w Oświęcimiu przywiozły osoby z późniejszego transportu. Na ocalałym fragmencie bramy ul. Wolskiej 11 przeczytaliśmy kartkę „Leokadia Celejewska wraz z Alicją i Jerzykiem mieszkają na ulicy Krzyżanowskiego 43”. Bardzo zmęczone poszliśmy tam, na ulicy przed domem spotkałyśmy ciocię Łodzię z wnuczkiem Jurkiem na rękach. Poszliśmy do mieszkania – do tej facjatki. Wkrótce wróciła z pracy Alina, poczęstowała nas zupą i pozwoliła zamieszkać. Była to dla nas bardzo ważna przysługa, bo nie miałyśmy się gdzie podziać. Zamieszkaliśmy w siedmioro dzięki dobrej woli rodziny, której złe warunki jeszcze się pogorszyły w tej małej przecież izdebce. Z gruzów jakiegoś domu wyciągnęliśmy pogięte żelazne łóżko i na nim zaczęła się nasza nowa „egzystencja”. Najpierw papierowy worek napelniłyśmy suchą trawą i pokrzywami i to był nasz materac na żelazne kraty łóżka. Potem chodziliśmy na gruzy i zbieraliśmy z podartych pierzyn i poduszek pióra do naszej poduszki. Gdy na pierzynę rozdarta z zabitego domu popadał deszcz, to robiła się z zewnętrznych piór skorupka i już dalej woda nie przeciekała. Odchyłało się tę skorupkę, a pod nią było suche pierze, raz mniej, raz więcej, ale nabierałam najpierw

w starą pończochę, a potem co dzień więcej. Zaczęliśmy z ciocią Jadzią jakoś żyć. Za 100 zł, które dał nam w Poznaniu PCK, gdy wracaliśmy z obozu, kupiliśmy trochę jedzenia i cienką kapę w kolorowe kwiaty, nici i igły. Z kapy uszyliśmy ręcznie dwie spódnice i następnego dnia sprzedałyśmy je na bazarze na Pańskiej. I za te zarobione pieniądze znów nowa kapa i trochę jedzenia. Potem kupiliśmy jakąś narzutkę, śliczną narzutkę wełnianą, ale nie dla mnie do noszenia, tylko na sprucie. Ja jeszcze chodziłam w sukience, w której wyszłam z obozu. Na plecach sukienki był wycięty prostokąt, a w to miejsce wszyty kawałek pasiaka. Oderwałam tylko kawałek materiału z czerwonym winklem z literą „P” i z numerem obozowym. Z uzyskanej z pelerynki włóczki zrobiłam na drutach sweter do sprzedania, za zarobione pieniądze kupiliśmy dla mnie buty, bo chodziłam w tych z obozu – jeden inny, drugi inny i już podarte po pieszej wędrówce z Berlina do Polski. Z pozostałej włóczki i przędzy ze starych pończoch zrobiłam malutki sweterek dla siebie. Zarabiałam, albo płaciłam za niektóre rzeczy reperując grube pończochy, a właściwie dorabiałam do nich pięty i palce z innej sprutej pończochy. Potem zaczęliśmy z ciocią Jadzią gotować rabarbar i kawę, oczywiście zbożową. Nosiłyśmy te napoje w butelkach na Dworzec Zachodni, przez który przejeżdżały pociągi z wojskiem wracającym z wojny. Żołnierze byli biedni, ale kupowali coś do picia za grosze i kopiejkę. Wracaliśmy z pustymi butelkami i zbierałyśmy kawałki drewna lub jak się trafiło węgla, żeby było czym napalić do gotowania. Była to ciężka harówka, ale było na jedzenie i na zapłacenie za „mieszkanie”. Nasze zdrowie też było nadwerężone po obozowych przeżyciach, tak że trudno było nieustannie pracować.

Jednocześnie zaczęłam poszukiwać mojego brata Zenona, siedemnastoletniego Powstańca. W czasie okupacji był drużynowym w Roju „Giermkowie Wolności” na Woli, potem w „Bojowych Szkołach”. Ostatni raz widziałam go ósmego lub dziewiątego dnia Powstania, gdy przyszedł na Kaczą do naszej piwnicy z gazetką powstańczą. Bywał u nas kilka razy. Przychodził w hełmie, z biało-czerwonym paskiem i z biało-czerwoną opaską na rękawie. Na opasce był napis „Zawisza Czarny”. Miał pistolet i granaty. Był bardzo radosny i szczęśliwy, co udzielało się nam i sąsiadom. Martwił się tylko mój ojciec, bał się o syna, sam był kontuzjowany w pierwszym dniu Powstania i przyniesiono go do domu, do piwnicy. Gdy Zenek przyszedł dziewiątego sierpnia miał poważną minę, chciał mnie zabrać do szkoły na Okopową, ale tata przeczuwał coś złego i mnie nie puścił. Zresztą wiedział, że Niemcy już opanowali część Woli i mordują

wszystkich. Zenek to potwierdził i powiedział, że powstańcy z jego oddziału mają się przebijać Okopową i dalej na Starówkę. Mój kochany Braciszek, poszedł do swoich. Więcej o nim nie słyszałam i nigdy już go nie zobaczyłam. Śnił mi się bardzo często, nawet w obozie, w jakichś dziwnych okolicznościach. Zawsze o nim myślałam. Był dla mnie taki dobry, kochany. Byłam bardzo dumna ze starszego o 5 lat brata, w którym widziałam bohatera i patriotę.

A więc po powrocie z obozu zaczęłam poszukiwać jakichś śladów brata. Znalazłam babcię Heńka i Jurka, kolegów i towarzyszy walki mojego brata. Ona powiedziała mi, że Zenek nie wszedł do kotła garbarskiego jak inni jego koledzy na terenie fabryki Pfeiffera na Okopowej, a zginął od niemieckich strzałów wraz z innymi osobami, kiedy zostali otoczeni w małej fabryczce chemicznej przy ul. Okopowej. Uniknęły śmierci tylko dwie starsze kobiety. Zwłoki poległych zostały zniesione przez kogoś na betonkę na terenie garbarni i przysypane piachem. Ci z kotłów wyszli cało, ale niestety także zginęli potem w walce lub obozach. Ocalał tylko Heniek i jedna sanitariuszka. Chodziłam po terenie fabryki i znalazłam wybetonowany kawałek miejsca, na którym na stosie było kilka ciał przysypanych cienką warstwą piasku, wobec czego zaznaczone były wyraźnie kształty ludzi. Zaczęłam ten piasek z brzegu odgarniać i dogrzebałam się do nogi, na której rozpoznałam skarpetkę, którą sama zrobiłam. Byłam pewna, że tam leży mój brat. Rozpacz. Straszna. Uciekłam z tego miejsca, zresztą już dozorca na mnie krzychał. Biegłam do domu, żeby powiedzieć o tym ciotkom. Zdawało mi się, że lecę na jednym oddechu, nie płakałam, tylko pędziłam do ludzi. Wpadłam na to czwarte piętro i... nie zastałam nikogo, mieszkanie puste, wszyscy wyszli. Wtedy ogarnęło mnie tak wielkie uczucie osamotnienia jakiego nigdy nie doznałam, nie wiedziałam gdzie się podziać. Weszłam w najciemniejszy kąt strychu. Potem, to co pamiętam, weszłam pod łóżko. Chciałam się skulić jak najbardziej, nie istnieć, świat był za wielki i przerażający, nie płakałam.

Chodziłam jeszcze wiele razy na „to” miejsce, prosiłam dozorcę, żeby mnie powiadomił, gdy PCK przyjdzie ekshumować. Prosiłam również w PCK, ale nie powiadomiono mnie. Zwłoki zostały opisane i pochowane najpierw na tzw. małym boisku przedwojennego klubu sportowego SKRA przy ul. Okopowej, a potem przeniesione na cmentarz Powstańców na Woli. Ani z zapisów PCK, ani z depozytów, nie można było stwierdzić, że tam był Zenek, ale kilku, z ośmiu osób, nie rozpoznano. Szkoda, że nie byłam przy ekshumacji.

Pewnego razu na Okopowej spotkałam Heńka, wracał z obozu, poznał mnie, ale nic poza tym co już wiedziałam nie umiał mi powiedzieć, wyglądał na bardzo chorego, roztrzęsionego, znerwicowanego. Potem jeszcze kiedyś go spotkałam, ale nie chciał mówić o Powstaniu i o tych sprawach, zwłaszcza, że spotkanie to odbyło się na uroczystości dla młodzieżowych zespołów artystycznych w pałacu na Krakowskim Przedmieściu na zaproszenie prezydenta Bieruta. Oboje byliśmy w mundurach harcerskich, ale Heniek chyba nie chciał, żeby ktoś wiedział, że on i ja byliśmy w konspiracji w Szarych Szeregach. Ponieważ nie mogliśmy być sami zaniechałam rozmowy.

Życie mimo wszystko toczyło się dalej. Dostaliśmy kartki żywnościowe. Po mięso (bardzo małe ilości) trzeba było chodzić aż na Wolską, mniej więcej naprzeciwko Redutowej, a potem vis a vis Cmentarza Wolskiego, i to kilka razy zanim się coś dostało. Ten obowiązek, dla całej razem mieszkającej rodziny, spadł na mnie, a komunikacji w tamtą stronę nie było żadnej. Kiedy szłam do sklepu wstępowałam do kościoła św. Wojciecha na Wolskiej (tam gdzie zabrano mojego ojca), albo do Redemptorystów na Karolkowej, a potem idąc dalej wchodziłam na gruzy i czytałam nazwiska na krzyżach zrobionych z deseczek, krzyży i krzyżyków było dużo. Każdy, kto wiedział, że ktoś nie żyje zapisywał to, często ołówkiem chemicznym, na tych krzyżach. Od deszczu nazwiska się zamazywały. Postarałam się o ołówek, dostałam od stolarza z Wolskiej, taki czerwony płaski, stolarski, i tym grubym ołówkiem poprawiałam nazwiska, z nadzieją, że może wśród nich znajdę kogoś bliskiego znajomego, a może i innym będzie łatwiej odnaleźć swoich. Na gruzach rosły wtedy maki, bardzo dużo maków lekko liliowych (pewnie rozsiał się z szafek kuchennych z domów, które zburzono). Zrywałam maki i kładłam pod krzyżami, których było wszędzie w tej okolicy Wolskiej bardzo dużo.

Nie wiedziałam co się dzieje z moim tatusiem, którego Niemiec odpędził ode mnie kolbą karabinu przy kościele św. Wojciecha, kiedy nas pędzono 10 sierpnia 1944 roku po wygnaniu z domu. Tata został, a mnie z ciocią Jadzią popędzono wraz z innymi mieszkańcami Woli do Pruszkowa. Stamtąd wywieziono nas do obozu koncentracyjnego w Auschwitz-Birkenau. Gdy front zbliżał się do Oświęcimia wywieziono nas do filii obozu Sahsenhausen w Blankenburgu, koło Berlina.

6 sierpnia 1945 roku siedziałam rozmyślając o tym wszystkim, na podłodze bawił się Jurek, ciocia Leokadia coś gotowała na kuchni. W pewnym momencie usłyszałam, a może tylko wyczułam kroki na schodach i potem

w korytarzu. Już wiedziałam, że to mój tatuś, bo krzyknęłam zanim zobaczyłam, aż się ciotka i Jurek przstraszyli. Wszedł tata w spodniach i bluzie wojskowej khaki z jakimś woreczkiem i tobołkiem. Radości nie było końca. Oboje byliśmy szczęśliwi. Wróciła też ciocia Jadzia, zrobiła coś do jedzenia. Ojciec wyjął to co przywiózł, woreczek sucharów z chleba, kremowy atlasowy obrus na sukienkę dla mnie, i koc z jasnego sukna. Opowiadał o swoich przeżyciach od czasu jak go wzięli z innymi mężczyznami do kościoła św. Wojciecha. Potem wypędzali ludzi grupami, niektórych od razu rozstrzelali, inni przepadli bez wieści. Tata wyszedł z grupą 100 mężczyzn i został pognany do robót na dworcach, do ładowania tego co Niemcy zrabowali i wywozili z Warszawy. Wszyscy Polacy jak mogli opóźniali wywózkę i szkodzili Niemcom, sypali piasek do trybów i w łożyska, uszkadzali maszyny, niszczyli je. Gdy Niemcy zorientowali się, to już był koniec listopada i wywieźli tę grupę, za karę, do kopania okopów na terenie Austrii. Tam pracowali w strasznych warunkach w błocie, potem w zmarzniętej ziemi. Gdy w czasie tej pracy tata został uderzony belką odezwała się kontuzja z Powstania, zostawiono go w jakiejś szopie na stracenie. Znalazł go „bauer” niemiecki i wziął do pracy w gospodarstwie. Lepsze wyżywienie i lżejsza praca pozwoliły ojcu wrócić do sił. Wyzwolony został przez żołnierzy amerykańskich i skierowany na „kwarantannę” do obozu dla Polaków, gdzie agitowano, by nie wracali do kraju, bo tam jest bardzo źle. Niektórzy nie wrócili, ale mój ojczulek wracał do nas, a właściwie wrócił tylko do mnie. Zapłakaliśmy oboje nad Zenkiem. Teraz razem z Tatusiem mogłam płakać. Tatuś bardzo to przeżył, chodziliśmy potem razem szukać wieści i śladów u znajomych i w PCK. Obeszliśmy wszystkie rodziny tych, którzy wzięli rzeczy swoich bliskich z depozytu po ekshumacji zwłok. Spotykaliśmy się na ogół z serdecznością, ale w paru przypadkach zastanawiała nas tajemniczość, niechęć do rozmowy i pokazania przedmiotów, które rozpoznali jako rzeczy swoich bliskich. Nic nie znaleźliśmy.

Tata trafił do nas, bo znalazł kartkę na gruzach naszego domu. Wieczorem tego dnia, kiedy tatuś wrócił, po wszystkich opowieściach zapytał jak się wam powodziło od chwili naszego rozstania, pewnie byłyście gdzieś na wsi i miałyście co jeść. Wtedy powiedziałam tatusiu nas wywieźli do Oświęcimia. Tatuś zbladł, spuścił głowę i powiedział: córeczko, Liluniu to dlaczego cały dzień nic nie mówiłaś, kiedy ja ci opowiadałem te „głupstwa” o sobie. Przecież to jest nic w porównaniu z tym co ty przeżyłaś. Jak oni mogli tak skrzywdzić moją rodzinę, tak skrzywdzić moje dzieci. Tego

im nie zapomnę. Ja też nie – powiedziałam. I musiałam wszystko opowiedzieć mojemu ojcu, który prosił, żeby go nie oszczędzać, mówić wszystko. Wiele wieczorów opowiadałam. A potem przez wiele lat z nikim nie mogłam o tym mówić. Kilka dni po powrocie tatuś zaczął pracować i zaczęło się „nowe” życie. We wrześniu poszłam do szkoły do siódmej klasy, ale już w nowej sukience uszytej z materiału, który tata dostał jako deputat zamiast części pensji w pracy. Przestałam się bać Niemców, przestałam się bać głodu i nieludzkiego upokorzenia.

Niestety ojciec mój zmarł już w 1952 roku, miał zaledwie 53 lata.

Dziś tj. 6 sierpnia 1998 roku siedzę sama w domu. Myśli moje powędrowały w dawny czas. Zaczęłam pisać. Może jeszcze kiedyś coś napiszę, choć to na pewno jest nieskładne i nerwowe, ale skorzystałam z tego, że mam taki nastrój. Do tej pory nie mogłam nigdy tych przeżyć opisywać, mimo że moje dzieci i wnuk namawiają mnie do tego. Boję się, bo takie wspomnienia wyrывa się spod serca, trudno je opisać tak, by oddać myśli, nastrój, odczucia, a nawet fakty z tamtych dni... to chyba nawet niemożliwe.

W obozowej dramatycznej szarzyźnie, wspomnienia o wolności, o domu, o stole były połyskujące kolorowo, były pachnące, świeże, ciepłe... W obozie wyobrażałam sobie, że gdy wrócę do domu zastanę całą rodzinę skupioną przy piecu, od którego będzie biło ciepło, a blask ognia rozświetli mrok wieczoru. Wszyscy będziemy się witać, radować i zasiądziemy razem do stołu. Całej rodziny już nigdy nie było, nie było domu, stołu, łóżka, nie było radości, został ból.

PS

Tego dnia, kiedy odzyskałam ojca, zrzucono bombę na Hiroszimę



WARSZAWA

*Bryła ciemna, gdzie dymy bure,
poczerniałe twarze pokoleń,
nie dotknięte miłości chmury,
przeorane cierpienia role.*

*Miasto groźne jak obryw trumny.
Czasem głuchym jak burz maczugą
zawalone w przepaść i dumne
jak lew czarny, co kona długo.*

*Wparło łapy ludzkich rojowisk
w głuchych ulic rowy wygasłe,
warcząc czeka i węszy groby
w nocach krwawych i w gromach jasnych.*

*Jeszcze przez nie najeźdźców lawa
jako dym się duszny przewlecze,
zetnie głowy, posieje trawy
na miłości, krzywdzie człowieczej.*

*Jeszcze z wieku w wiek tak się spieni
krew z ciemnością, a ciemność z brukiem,
że odrośnie jak grom od ziemi
i rozewrze niebiosa z hukiem.*

*Bryła ciemna, miasto pożarne,
jak lew stary, co kona długo,
posąg rozwiany w dymy czarne,
roztrzaskany czasów maczugą.*

*I znów ująć dluto i rydel,
ciąć w przestrzeni i w ziemi szukać,
wznosić wieki i pnącza żywe
na pilastrach, formach i lukach.*

*I w sztandary dąć, i bić w kamień,
Aż się lew spod dłoni wykuje,
Aż wskresze znużone ramię
Taki głaz, co jak serce czuje.*

*Krzysztof Kamil Baczyński
10 II 1943 r.*

Powrót do życia

*"Umarła piękna. Umarła. Jej okna nie istniały.
Noc kładła się na białą zmarłą a dzień oświeślał równinę.
I taką ją zobaczyli."*

Pablo Neruda.

Te poetyckie strofy utrwaliły obraz Warszawy ze stycznia 1945 roku. Obraz o którym młode pokolenia warszawiaków nie mają /nie mogą mieć/ wyobrażenia. Po podpisaniu w dniu 2.X.1944 układu o zaprzestaniu walk w Warszawie, okupant dokończył planowanego już w roku 1939 zniszczenia miasta. Plan ten, znany jako plan Pabsta, przewidywał zburzenie Warszawy i zredukowanie 1,5 milionowego miasta – stolicy Polski – do stu tysięcznego obozu niewolników. Realizowano go planowo przez 5 lat okupacji, dokończono po upadku Powstania. Działano metodycznie i naukowo. Wydrukowano specjalne mapy z podziałem centralnej części Warszawy na 83 kwartały, by następnie wg nich oznaczyć domy do wysadzenia. Sprowadzono historyków sztuki i architektów, którzy wskazywali saperom co bezwzględnie należy zniszczyć. W Śródmieściu na 878 zabytkowych obiektów zniszczono większość. Z 55 świątyń różnych wyznań zniszczono większość. Z 55 kościołów katolickich ocalało 8. Sprowadzono dendrologów by wskazali, które drzewa w Łazienkach należy rozstrzelać. Próbowano wysadzić specjalną techniką, opracowaną wcześniej, warszawskie kanały, co byłoby ostateczną zagładą miasta, ale okazało się to – dzięki Powstaniu – niemożliwe. By je zniszczyć musiały być szczelne. Powstańcy używając ich, w wielu miejscach zdjęli pokrywę włazów. Kanały ocalały. Ocalała lokalizacja Warszawy. Jeszcze na kilka dni przed opuszczeniem miasta zniszczono Pałac Saski z kolumnadą i Grobem Nieznanego Żołnierza, pałac Bruhla. Wyciągano kable telefoniczne i wywieziono sieć tramwajową. Warszawa miała być wg obłąkańczego rozkazu Hitlera „glat rasiert” – gładko wygolona, jako odstraszcający przykład dla całej Europy.

I taką ją zobaczyli.

Kiedy 16 stycznia 1945 roku żołnierze polscy oczyszczali walcząc z wrogiem ruiny przy budynku B.G.K. dostrzegli, że

za nimi przebiegają jacyś ludzie. Żołnierz krzyknął „cywile nie kręcić się tu”. Usłyszał w odpowiedzi „my nie cywile – my warszawiacy”. I to właśnie oni wychodząc z zamieszkałych już ruin kupowali od gazeciarza „Życie Warszawy”. Miasto ożyło. Od stycznia do marca 1945 wywieziono i unieszkodliwiono z 990 budynków 93.170 wszelkiego rodzaju bomb, min i pocisków. Przy pracy tej zginęło 34 oficerów i żołnierzy. Oczyszczano z gruzu ulice, uruchamiano komunikację /wozy konne/, reperowano kanały, sieć gazową i wodociągową. Równolegle odbudowywano centrale telefoniczne, Muzeum Narodowe, Zachętę i Bibliotekę Publiczną. Podnoszono stropy zawalonych tuneli kolejowych i doprowadzano do porządku drzewostan w parkach. W grudniu 1945 roku w Warszawie mieszka 450 tysięcy mieszkańców. Wśród nich kilkadziesiąt tysięcy dzieci.

„Zbrojne dzieciństwo” – tak zatytułował po latach swoje wspomnienia jeden z nich, Stefan Tomaszewski. Tytuł trafny, ale było to nie tylko dzieciństwo zbrojne. Te dzieci – dziewczęta i chłopcy – widziały zbrodnie i gwałt. Niektóre z nich miały na rękach numery z obozów koncentracyjnych. Przeżyli czas pogardy dla człowieka. Przeszli przez poniewierkę i głód. Część była wojennymi kalekami, którym los ofiaruje protezy /rąk i nóg/ znacznie później. Byli żołnierzami łączności i sanitariuszkami. Pomagali wyżywić rodzinę i nie przestając być dziećmi – byli dorosłymi nad miarę. Mówimy o Warszawie, ale takich dzieci było setki tysięcy w całej Polsce. I żaden psycholog nie odpowie na pytanie, które zadała 14 IX 1939 roku swojej zabitej siostrze Annie, 12-letnia Kazimiera Kostewiczówna: „Co oni Ci zrobili”. Siostrze zabitej przez niemieckiego pilota, kiedy zbierały kartofle. Zarejestrował ten fakt i pokazał światu amerykański fotoreporter Julien Braun. Te dzieci widziały śmierć zadawaną z nienawiści do nich i do ich świata. A teraz miały w ławkach szkolnych nadrobić stracony czas.

Szkoła

W Warszawie na ogólną liczbę 289 budynków szkolnych /przed wojną/ 123 zniszczono całkowicie, 36 wymagało generalnego remontu, a pozostałe napraw tymczasowych. Część z nich przeniesiono do szybko postawionych baraków /np. szkoła im. St. Starzyńskiego na Saskiej Kępie/. Ogrzewano je piecykami typu „koza” produkowanymi w odlewni „Neptun” w Końskich. Brakowało ławek. Dzieci często siedziały na podłodze. Ławki, które ocalały były przeważnie starego typu z kałamarzem na atrament. Pisano obsadkami,

w których umieszczano stalówki: serek, krzyżyk, rondówka. Szanowano książki. Elementarz Falskiego przechodził z rocznika na rocznik. Nauczyciele nie pozwalali nie zakreślać. Nawyk szanowania książki był wpajany w szkole. W przeciwieństwie do dzisiejszych programów „mazanie” w książce było wysoce naganne. Zeszyty oszczędzono, ponieważ jako dary w znaczącej części z pomocy amerykańskiej były trudno dostępne. Kredki i kolorowe farbki były marzeniem wielu dziewcząt i chłopców. Przewija się ten fakt w ich wspomnieniach. Ocalone pomoce szkolne wykorzystywano maksymalnie wypożyczając je sobie wzajemnie. Plansze pogładowe do nauki o roślinach, zwierzętach, czy biologii nauczyciele rysowali sami lub zdolniejsi rysunkowo uczniowie pod ich nadzorem. Lekcje gimnastyki odbywały się na zewnątrz jeśli pozwalały na to warunki atmosferyczne. Ćwiczone przeważnie gimnastykę szwedzką, skoki w dal, wwyż, biegi dookoła boiska.

Zdrowie

W każdej szkole była higienistka. Część dzieci miała wszy, świerzb i inne problemy wynikające z niebywale trudnych warunków mieszkaniowych i niewystarczającej ilości wody. Taka kontrolna pomoc była konieczna. Higienistka uczyła zasad utrzymania czystości a dla dorastających dziewcząt była pomocna w chwili pojawiania się okresu. W części szkół próbowano wprowadzać nawyk mycia zębów. Stosowano też obowiązkowe używanie specjalnego antygrzybiczego płynu do smarowania palców rąk i nóg. Ponieważ szkoły pracowały często na dwie zmiany problemem było /szczególnie w pierwszym roku odbudowy/ oświetlenie klas. Druga zmiana uczyła się przy świeczkach lub karbidówkach, pozostałościach okupacyjnych. Większość dzieci była niedożywiona. Odkryto nawet przypadki otwartej gruźlicy. W szkołach przeprowadzano akcję „tran”. Klasy ustawiały się szeregami. Każdy uczeń z własną łyżką. Po dojściu do nauczyciela rozlewającego tran należało łyknąć porcję w jego obecności i zagryźć kawałkiem razowego osolonego chleba. Taka forma dozowania była konieczna, ponieważ część uczniów próbowała tran wypluć. Na terenie szkoły starano się też dożywiać dzieci. Obiady /posiłki/ gotowane centralnie rozwożono do szkół. Czasami przygotowywano je na miejscu, szczególnie tam, gdzie szkoła mieściła się w ocalałym budynku. „Nie były to obiady dobre” – to opinia po latach o obiadach przywożonych do szkoły. Podobną usłyszałem o podwieczorkach czy drugich śniadaniach, które

starano się wydawać w części szkół warszawskich. Ale były. Dla wielu był to jedyny posiłek dnia.

Kadra nauczycielska – przedwojenna – starała się utrzymać wysoki poziom nauczania. Nie było to łatwe. Z wielu względów. Nowe dyrektywy zmieniały systemy nauczania. Ludzie ci nie chęć przekazywać młodzieży obcych sobie wartości musieli często milczeć na temat problemów często dla nich zasadniczych. Nauczyciel – legionista J. Piłsudskiego, czy uczestnik wojny 1920 roku, musiał dokonać wyboru. Milczeć, albo mówić o tych wydarzeniach kłamliwie. Wybierał milczenie. Był jeszcze inny problem. Byli to ludzie również ciężko poturbowani przez wojnę. Aresztowania, przesłuchania przez Gestapo czy NKWD, obozy – były także ich udziałem. Zdarzało się, że argument „on przeszedł przez obóz koncentracyjny” musiał wystarczyć jako usprawiedliwienie nazbyt impulsywnego zachowania nauczyciela. Do roku 1949 w większości szkół uczył religii ksiądz katecheta.

Droga do i ze szkoły nie była bezpieczna. Często wiodła przez gruzy. Dlatego starano się dzieci – szczególnie najmłodsze – odprowadzać. Sam byłem świadkiem, jak pod idącym przede mną mężczyzną zapadł się strop piwnicy i runęły wsparte na nim ściany. Poniósł śmierć, mimo że natychmiast wezwałem pomoc.

Rozrywka

Zabawy nie były wyszukane. Chłopcy przeważnie bawili się w wojnę lub Powstanie. W gruzach po ekshumacjach leżało wiele hełmów zawieszonych uprzednio na krzyżach nagrobnych. Starsi chłopcy mieli często broń krótką lub granaty. Znam relację, że amunicja pistoletowa wrzucona do rozżarzonego paleniska – wybuchając – rozsadziła szkolny piec. Nauczyciel, mocno starszy pan, nie z Warszawy, ocenił ten wybryk tylko jednym słowem: „kanalarze”. W ten sposób wyraził swoją dezaprobatę dla tej bandy wyrostków – dziś uczniów – którzy przed rokiem chodzili kanałami. Na szczęście nie było pożaru.

Dziewczęta bawiły się lalkami. Przeważnie z „szabru”, czyli przywiezionymi przez obrotnych handlarzy z Ziem /po wiekach / Odzyskanych. Niektóre z nich były bardzo piękne, z porcelanowymi główkami. Wózek dla lalki był marzeniem i stanowił przedmiot zazdrości. Podobnie rower. Po propozycji „daj się przejechać” określano dokładnie trasę, np. „do Kurdzina /właściciel posesji/ i z powrotem” i pożyczano. Oczywiście nie było mowy, by ktoś tak otrzymany rower ukradł. (Ze jest to możliwe, zobaczyłem dopiero po tak

zwanej transformacji ustrojowej lat 90-tych, kiedy to zdenerwowany ojciec i zrozpaczony chłopiec szukali złodzieja roweru, pytając o niego przechodniów). Były to przeważnie rowery stare, jeszcze z drewnianymi obręczami, więc stale wymagały reperacji. Przejazdzka rodzicielskim, polskim motocyklem marki „Sokół” była nie lada wyróżnieniem i przyjemnością. Podobnie jak wyprawa na karuzelę. Szkoły starały się tworzyć zespoły zainteresowań. Powstawały zespoły muzyczne, recytatorskie, teatralne. Organizowano szkolne chóry. Dzieci występowały w programach tematycznych, takich jak „Warszawa nasza stolica” czy „Budujemy Polskę”. Brały udział w akademiach z okazji zakończenia roku szkolnego, czy w czasie Świąt Bożego Narodzenia – podczas uroczystości choinkowych. Część szkół organizowała wycieczki w góry lub nad morze. Opłaty, mocno zróżnicowane, ponosiły rodziny lepiej zarabiające. Biedniejsi otrzymywali dopłaty od Komitetu Rodzicielskiego, bądź Kuratorium. TPD – Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, organizowało w czasie wakacji „kolonie”, na których najcenniejszą wartością były dobre posiłki. Część dzieci biedniejszych dostawała, tak jak dorośli w pracy „deputat”, czyli amerykańską paczkę żywnościową. Zawierała ona przeważnie konserwy mięsne w puszkach. Podobnie paczkowano dzemy i jajka w proszku, a także cukier, kawę lub – co nieczęsto – boczek gotowany i wędzony w długich białych płatach. Osobnym wielkim rarytasem była wówczas guma do żucia w paczkach. Była ona przedmiotem wymiany /handlu/ wśród dzieci i młodzieży.

Warto tutaj przypomnieć, że między najmłodszymi rolę pieniędzy spełniały klisze filmowe, pocięte na odcinki po pięć klatek. Uważny rodzic przeglądając obrazki takich „pieniędzy” dostrzegł, że są to klatki filmu powstańczego. Po nitce do kłębka dotarto do pojemnika gazogeneratora, w którym znaleziono już rozwłócone powstańcze taśmy schowane w dniu kapitulacji. Starsi, 14-15-letni młodzi ludzie, którzy znali kino sprzed wojny – pozbawieni jego uroków przez cały czas jej trwania („kupując bilet do niemieckiego kina – kupisz sobie kulę”) – teraz, kiedy kino znów było polskie, chodzili po kilka razy na ten sam film. Tym bardziej, że w pierwszych miesiącach było ono za darmo. W Warszawie uruchomiono kino „Polonia” /dawny „Imperial”/. Wyświetlano tam przeważnie filmy radzieckie, czy jak się to wówczas mówiło – sowieckie. W tym „Sekretarza Rejkomu”. Jak zapamiętałem, treść była mało skomplikowana. Sztab partyzantki sowieckiej, zebrany na naradę w dawnej cerkwi, otaczają gęstym kordonem Niemcy. Tych ostatnich otaczają wezwani na pomoc pozostali partyzanci.

A potem wszyscy do wszystkich strzelają. Ponieważ w Warszawie nie było prądu, projektor był zasilany z agregatu. Pracował on niemiłosiernie głośno, co znakomicie wzmacniało efekt akustyczny filmu. Zapamiętałem, że mój kuzyn, który nie był w czasie wojny w Warszawie chciał, żebym mu (po wyjściu z kina) wyjaśnił jak można strzelać z karabinu z nasadzonym nań bagnetem. Objąśniłem dokładnie. Dziś widzę, z perspektywy czasu i znajomości literatury rosyjskiej, że tamto korzystanie z kina opisał dokładnie 30 lat wcześniej M. Zoszczenko. Cudownie.

Ubiór

Odrębny temat stanowi odzież. Pamiętam, że pierwsze pół roku po wojnie chodziłem wytwornie ubrany w smoking. Był za duży, więc zawiązałem poły i opinałem niemieckim pasem wojskowym. Klamra przez długi czas, zanim jej nie wytarłem, miała pamiętny napis „Got mit uns”. Podobnie ubrani byli inni. Elegancję stanowiły elementy ubioru wojskowego, przeważnie z demobilu amerykańskiego. Kurtki, płaszcze, spodnie. Często przerabiane, skracane, farbowane. Ubrania, nazwijmy je „cywilne”, były noszone aż do całkowitego wytarcia. Młodsze rodzeństwo, niezależnie od płci, donosiło ubiór po starszych. Buty, przeważnie nie na miarę, kryły w sobie /jeśli były z demobilu i używane/ niebezpieczeństwo zakażenia grzybicą. W roku 1946 pojawiły się płócienne buty amerykańskie – dla młodzieży – ze skórzanymi noskami.

Było normą /niepisaną/, że w szkołach dla dziewcząt obowiązywał fartuch. Granatowy. Czasami z dekoracyjną wypustką. Nie było tornistrów. Książki noszono w parcianych torbach po maskach przeciwgazowych /polskich/ lub brezentowych /angielskich/. Często po prostu spinano je paskami. Nauczyciele starali się podawać materiał treściwie: z niewielką ilością do odrabiania w domu. Uwzględniano w ten sposób bardzo trudne warunki mieszkaniowe. Zdarzało się bowiem, że dziecko mogło odrobić lekcje na blacie kuchni dopiero kiedy zjedzono posiłek i kuchnia ostygła. Problem ten dotyczył szczególnie dzieci Warszawy lewobrzeżnej. Zajmowano strychy, piwnice, pomieszczenia posklepowe a nawet /znam taki przypadek/ w dawnym murowanym śmietniku. Właściciel domu przed wojną obudował skrzynię-zbiornik niewielkim, ale prawie domkiem. Z porządnymi drzwiami i oknem. Okrągłym. Wyrzucono skrzynię śmietnika i uzyskano pomieszczenie do nocowania. Groźbę utraty życia stanowiły stojące dookoła ściany spalonych oficyn, poruszane niekiedy gwałtowniejszymi

podmuchami wiatru. Był jeszcze jeden powód takiego prowadzenia nauczania. Te dzieci – dzieci tamtego czasu, były również często żywicielami rodzin lub pomagały wydatnie w ich utrzymaniu. Handlowały mając pudełka zawieszane przed sobą na sznurkach lub tasiemkach. Z tych pudełek sprzedawano papierosy na sztuki, gumę do żucia, pestki dyni lub słonecznika odmierzane kieliszkiem. Obrotniejsi proponowali w takiej ilości wódkę. Osobną grupę stanowiły dzieci proponujące na dworcach picie dla podróżnych. Sprzedawano na szklanki kompot z rabarbaru, wiśni, wodę gazowaną, oranżadę. Chłopcy sprzedawali gazety, głośno wykrzykując tytuły lub zapraszali do jazdy – w pierwszym okresie na wozach konnych później samochodach. „Na Pragę, na Pragę” wykrzykiwali mali naganiacze, którym za to płacono. Niewiele, ale zawsze. Zdolniejsi udzielali po południu korepetycji za żywność czy obiad. Dzieci na handel wybierały z gruzów złom, a kiedy pojawiła się forma „stacza” czy „konika” dorabiały w ten sposób do rodzinnego budżetu. Niedobór wszystkiego wydatnie im w tym pomagał.

Ci mali Polacy i Polki czuli także intuicyjnie złożoność zaistniałej sytuacji politycznej. Widzieli, przeżyli to niebywałe zjawisko jakim było Powstanie. Ich miasto, ich ulica, ich dom były twierdzami wolności. Niesłychanej! Prawie że dotykanej. Dla tych ze Śródmieścia przez niewyobrażalnie długie 63 dni. I oto teraz okazywało się – jak wieściły nalepki i plakaty – że należy ich oddać pod sąd. Także ich starszych braci, ojców i matki. Siostrę łączniczkę i kuzyna z II Korpusu gen. Andersa. I kara śmierci bez względu na wiek za posiadanie broni. Nawet tej wyśnionej, często okupionej krwią, zdobytej w walce.

„Jeszcze w czasie lekcji rozebrałem na najmniejsze części, odłączając nawet okładziny z rękojeści, mój pistolet. Wracałem do domu Kruczą i poczawszy od Piusa co pewien czas rzucałem daleko w gruzy po jednej części pistoletu. Nikt nie miał prawa mieć go po mnie”. To ostatni akapit wspomnień cytowanego już /wówczas czternastolatka/ Stefana Tomaszewskiego. Jakże wymowny.



ROZMOWA HALINY CIENKOWSKIEJ
Z SIOSTRĄ MARIĄ ZOFIĄ WILKÓWNĄ
Z KLASZTORU SIÓSTR WIZYTEK
W WARSZAWIE

LUTY ROK 1945.
POWRÓT DZIEWCZYNKI Z TUŁACZKI

*Zimno – wiatr dmucha, ona powraca,
Parowóz dymi – na którym siedziała
Dworzec Zachodni kikutami wita
Ale już wolny, a Warszawie chwała!*

*Stąd na Fabryczną do domu swojego
Lecz tam stos gruzów, matka pod gruzami
Wraz z bratem legli tam dnia dziewiątego
Września dom został zniszczony „bertami”.*

*Siostrę spod gruzów chłopcy wydobyli
Szczęśliwie, że się pod strop nie dostała
Bo razem z bratem zmiażdżona by była
I razem z nimi martwa pozostała.*

*Ojciec raniony, a one przeżyły
Wraz z siostrą w gruzach piwnicznych przetrwały
I tam się żywiły fusami od kawy,
Które w zniszczonym kotle wyszperały.*

*Koniec Powstania, przez Pruszków, selekcje,
Obie tułaczki smak, na wsi doznały,
W Gildzie – w rejonie bliskim Częstochowy
Gdzie przyjscia frontu obie doczekały.*

*Po swoim powrocie śladów bliskich szuka
Wtedy kuzynów na Pradze znajduje
Ząbkowska cztery. Opiekę znalazła,
Tam się dopiero z żalu wyplakuje.*

*Ojciec się znalazł w krakowskim szpitalu
Był ciężko ranny, z gruzów ocalały
Leczony przeżył – kalectwo zostało.
One wraz z siostrą same pozostały.*

Kazimierz Moczydłowski „Junior”

Powrót z Syberii (fragment)

Praca w sowchozie i mój zarobek

...ja też tam w tym sowchozie pracowałam w polu. Moje siostry nie pracowały, bo ta starsza to była zawsze chorowita, a te młodsze to jeszcze za małe. Więc ja tam pracowałam. 15 kilometrów od tego sowchozu, od tej wioski gdzie mieszkalam, w polu. Jak pojechaliśmy latem na to pole, to tam nocowaliśmy a ja, jak miałam tą jedną szatę na sobie, to po miesiącu przyjechałam, żeby ją uprać i zmienić, i z powrotem, bo nie było nic więcej do ubrania. Jak przyjeżdżałam z tego pola do domu, to Ojciec się pytał tych ruskich, jak tam docz? a oni mówili, pięciu zastępuje. a Ojciec mówił tak, to sporo zarobi, jak tak pracuje. Jak przyszło później co do czego, to okazało się, że jak zaczęli obliczać, to Ojciec mówił, musiałem dopłacić 54 ruble, bo powiedzieli, że przejadłam. Taki był zarobek. Praca była do jesieni, a jak przyszła zima, to Ojciec postarał się dla mnie o inną pracę, na miejscu w tym sowchozie. Takie palenie w piecach tam, gdzie te traktory remontują i dali nam inne mieszkanie. Też barak, kilka rodzin już tam było. Później Ojciec był tam takim wielkim człowiekiem, tak wszystko robił, że oni chcieli go sobie zatrzymać. Że mu dadzą zabezpieczenie, że nie pójdzie do wojska. Ja wtedy już miałam 14 lat i pracowałam w tym polu.

– A jak wyglądała praca w polu?

Pole było orane traktorem, za traktorem szedł pług, 3 albo 4 skibowy. Stałam na tym pługu, co miał taką rączkę nią regulowałam głębokość skiby i tak albo trzeba było go puścić niżej, albo wyżej, albo wygruzić, albo zelżyć. Zależało, jak traktor stękał.

Czasami za traktorem leciało 12 bron, 6 rzędów po 2 brony. Trzeba było zejść z traktora – siedziałam obok traktorzysty, by te dwie brony podtrzymać, żeby te śmieci wyszły, zrzucić je i na nowo puścić. i tak to było – albo praca w żniwa, albo za kosiarką, albo siana koszenie, albo zbieranie siana. To te ruskie pracownice były na mnie złe, bo ja nie lubiłam robić byle jak, a one były złe na mnie, że to właśnie tak trzeba. Ale ja zapłatą czy nie zapłatą, jak ma być zrobione, to niech będzie zrobione dobrze. Sama pracowałam. Starsza siostra była słabowita, a młodsze za małe.

Wreszcie do Polski

Później, jak się już skończyła wojna, to Ojciec jakoś się dowiedział, że będą zwalniać Polaków. Że mogą jechać do Polski. Ale nam nie chcieli żadną miarą dać zgody, ani nawet dać znać o tym. To było w 1946 roku. a do Polski chcieli nie tylko Polacy. Taka jedna Ruska, córka kołchoźnika, co wyszła za mąż za polskiego chłopca, nauczycielką była, to nie chciała zostać w Rosji, tylko wyjechać do Polski. i pojechała. Ale Ojcu tyle obiecywali, żeby tylko nie wyjeżdżał. a Ojciec mówił, że chce być u siebie w domu. a oni mówili, że w Polsce tak samo będzie. Jak będzie to będzie, mówił Ojciec, ale chcę jechać. Po długim czasie pozbialiśmy się z innymi Polakami, zapakowaliśmy się do pociągu do Polski i w 46-ym, 17 kwietnia przywieźli nas do Medyki. Całe miesiące się jechało.

– Co jedliście w drodze?

- To, cośmy mieli ze sobą. Niby trochę opiekowali się nami na tych stacjach, te polskie PURy. Oni mieli takie zadanie, żeby się opiekować tymi Polakami, co do Rosji byli wywiezieni. Dali nam karteczki. Tam i tam mówili, można dostać chleb, a tam zupełnie, bardzo się trzeba było śpieszyć, bo jak się opóźnił kto, to pociąg pojechał dalej i mógł zostać.

Bracia Żydzi i dur brzuszny

...tych wagonów było strasznie dużo, mówili że 90 czy coś koło tego, taki transport z Rosji, a w tym pociągu, mówili, było tylko 10% Polaków, a tak reszta to byli różni i Żydzi. ...mówili nawet, że same Żydy i 10% Polaków. Na granicy w Medyce, jak zrobili przegląd w wagonach, to się okazało, że tam, gdzie weszli do polskich wagonów, to była straszna bieda, a tam gdzie do żydowskich, to Żydzi złoto pochowali

przy sobie i w butach. Bali się, że im odbiorą, bo Żydzi kręcili głowami w tej Rosji i na przykład można było cukru dostać 40 deko, niby z przydziału, taniej, a oni całymi rodzinami wystawiali w kolejkach. Brali ten cukier i później sprzedawali drożej. Jak ktoś taki był, co miał za co kupić, to kupował. Polacy pracowali rękami i nogami, a Żydzi głową, mieli złoto, bo handlowali. w każdym razie tak słyszałam. W Medyce odłączyli Żydów od reszty ludzi i gdzieś ich powieźli, gdzie, to nie wiem. To był taki długi pociąg. Jak na zakręcie myśmy patrzyli, to był okropnie długi, długi wąż.

Ale wcześniej jeszcze jedno.

– Jak w 1943 roku Żydzi się dowiedzieli, że tutaj, w Rosji, prześladowają ich, zabijają, to oni tak samo chcieli się na tych Ruskich zemścić. Taka Żydóweczka na przykład przychodziła do Ruskiej niby kupić mleka, te Ruskie jakoś to mleko tak robiły, że było jak śmietana. Żydóweczka prosiła, żeby jej na rękę kapnąć tego mleka na spróbowanie i w tym czasie nad tym mlekiem poruszała palcami i trochę się sypnęło czegoś jak proszek do tego wiaderka tak, że to mleko zaraz zaczęło się burzyć. I oni tak posypywali tego proszku po polach na rżysko, a później dzieci z głodu zbierały te kłosa. W mózdzierzu się tłukło, żeby było na placki. w jednej rodzinie polskiej to było dwanaścioro dzieci. Oni z tej rodziny bardzo często chodzili na te kłosa, no i umarli rodzice, a z tych dzieci zostało tylko troje, dziewięcioro Umarło z tej choroby. I tych troje nasz Ojciec wziął pod opiekę i tak razem przeżyliśmy resztę czasu za zsyłce i razem wróciliśmy do Polski w nasze strony. A choroba zaczynała się tak, że najpierw robiła się taka mała plamka pod skórą, potem wychodziła taka krostka, a potem przychodziło coś takiego, że zatruta krew była w środku. Ludzie nie wiedzieli, co to było, ale w szpitalu nazwali to sepsititiska angina [chyba tu mowa o epidemii tyfusu (duru) brzuszego, którego źródłem zakażenia jest przede wszystkim brud, przyp. red. H.C.], a ponieważ u nas w domu siostra też chodziła na te kłosa, a ja nie chodziłam, bo nie byłam w domu i jadłam w polu, to ta najstarsza siostra i Ojciec zachorowali na tę chorobę. Ojciec dostał takich plam, poszedł do szpitala, a jak odchodził, powiedział nam, że jak tylko coś takiego zauważymy u siebie, to żeby się zaraz zgłosić do szpitala w Czkałowie. (Przedtem był to Czelabińsk, a potem ten Czelabińsk nazwali Czkałów). Dowiedziałam się tego od Ojca. Kiedyś, jak odwiedzałam Ojca w szpitalu, to widziałam na własne oczy, jak on się dusił. Gardło mu zatykało. Na własne oczy to widziałam, jak

skrzepy krwi z niego wyrzucało. Ojciec i siostra zatruli się przez jedzenie placków ze zboża zbieranego z tych kłosów. Dużo ludzi się zatrulo. A tam gdzie Żyd był lekarzem, to nikt nie wrócił z tego szpitala, a lekarzami przeważnie byli Żydzi. W tym szpitalu, gdzie leżał Ojciec i siostra, był ruski lekarz i że się uratowali, to i tu też spotkało ich wielkie Boże Miłosierdzie. Choroba ta dopadła Ojca w kołchozie koło Czkałowa, w 1943 roku, przed powołaniem go do wojska.

A w Polsce już zielono

A wracając do podróży – z Rosji wyjechaliśmy tak jakoś zimą, ale jakiego miesiąca, to nie pamiętam, mógł być styczeń, luty.

A w Polsce już było tak zielono – kwiecień. w wagonach było tak ciasno, że nie było żadnej ruchawki. Można było tylko leżeć na takich półkach. Jeżeli ktoś chciał coś zobaczyć, to przez takie małe okienko, na zmianę. Wagony były zamknięte, miały tylko małe okienka, leżało się jak śledzie na tych półkach. Tylko na środku stał piecyk. Ani się gdzie ruszyć. Na długim postoju można było wyjść, ale trzeba było siebie pilnować, żeby nie zostać, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy lokomotywa przyjechała i buch, już jadą. W wagonie ludzie byli tak jakoś cicho, żadnych rozmów i tylko modlitwa była bez przerwy i ludzie tak jak cały czas w Rosji zdali się na Wolę Bożą. Tylko modlitwa dawała spokój. Tak nas wieźli, wieźli aż do Szczecina, przez całą Polskę.

Trudny początek w Polsce

– Taki jeden żołnierz wszedł do wagonu, Ojciec się go wypytywał, co, jak – a on taką radę dawał, że jak ktoś ma jakąś rodzinę, to lepiej niech wraca, bo tam, gdzie was wiozą, to nie do życia. Nawet mówił, że te tereny to po wysiedlonych Niemcach. Inni też dobrze radzili. Ojciec miał na szczęście ze sobą papiery i w Boguchwale miał siostry, brata, to bez zastanowienia udał się z powrotem do Rzeszowa.

– *To nie wszystkich z waszej rodziny wywieźli do Rosji?*

Nie, reszta rodziny tutaj została. Ale najpierw dojechaliśmy do Szczecina, wysiedliśmy, żołnierz powiedział, że zaraz jest pociąg, Ojciec załatwił, co trzeba i tak przyjechaliśmy do Rzeszowa. Jak wysiadaliśmy w Rzeszowie, to Ojciec się dowiedział, co i jak. Poszedł do jednej rodziny, do drugiej, „porozplanowywał” nas po jednej do każdej siostry.

Kuzynka wzięła tę najmniejszą, bo dzieci jej umierały, to miała łóżeczko. Tam ta Mała miała wygodę, kuzynka sama z mężem, mieszkali w rynku w Rzeszowie, a z nami było inaczej. My nie miałyśmy luksusów, żyłyśmy u ciotek, też w biednych rodzinach po wojnie.

– *A Siostra pamięta po przyjeździe swoją pierwszą sukienkę, przecież musiała Siostra przebrać się w coś nowego?*

– Ja nawet o tym nie myślałam. Przebrać się? W co? W tym, co miałam na sobie, jeszcze bardzo długo chodziłam. Materiał był taki jak drelich, twarde, coś jak ten, co to pasy z niego na maszynach rolniczych w Rosji były szyte, a jak szcztoką próbowałam uprać, i jak był mokry, to był sztywny jak blacha. a później okazało się, że to coś, ta szata, to było tak ogromne, jak worek, bo ja w Rosji byłam taka spuchnięta z głodu. Ojciec nie miał żadnego kłopotu ze mną. Siostry moje rosły, jakby się domagały, ciotki musiały im szykować sukienki i wszystko. Po powrocie z Syberii zatrzymaliśmy się wszyscy tymczasowo na krótko u siostry Ojca w Boguchwale, ale potem musiałyśmy się rozłączyć. Ja zostałam w Boguchwale, bo córka cioci pracowała w fabryce porcelany i załatwiła mi tam pracę przy wyrabianiu izolatorów do elektryczności. Pracowałam tak razem z tą kuzynką, z domu wychodziłyśmy razem do pracy i po pracy wracałyśmy razem do domu. Podobało mi się, że kuzynka była taka – gdzie mi tam do niej – ja przy niej taka zniszczona w tej Rosji. Ale żeby się nie przywiązała za bardzo do jej towarzystwa, Pan Jezus dopuścił, że bez żadnej mojej winy i bez żadnego porozumienia się ze mną kuzynka obwiniła mnie o różne zmyślane sprawy, tak że wszyscy pracownicy w tej fabryce uwierzyli jej i jakby odwrócili się ode mnie. Bardzo to przeżyłam. Tylko Pan Jezus mnie nie opuszczał. Dotrzymywał mi towarzystwa dając mi poznać, że jest zazdrosny o mnie. I że wszystko będzie dobrze, tylko ufać. Ale pracowałam jeszcze w tej fabryce dalej do czasu, kiedy Ojciec otrzymał gospodarzkę i nas tam wszystkie zgromadził, co byłyśmy po jednej do rodziny Ojca tymczasowo przyjęte.

Szukanie gospodarcki

– Ale wracając do szukania gospodarcki, to Ojciec cały czas się starał o gospodarckę za tę co stracił, sprzed wojny, co mu zabrali. Najpierw pojechał na ten Zachód, co to tam się Niemcy wysiedlili, ale zachorował tam na malarię, wrócił i mówi, że nawet dostał gospodarckę taką, że nie potrzeba

było wychodzić. Wszystko było na miejscu i woda, i krany i piękne takie umebłowanie po tych Niemcach. To wszystko dostał, ale mówi, tak go zawsze korciło, że nigdy nie wiadomo, czy Niemcy nie wrócą. Był tak myślący, no i przyjechał. Wykaraskał się z malarii i już tam nie pojechał więcej. Po jakimś czasie znalazł koło Przemyśla, po Ukraińcach, bo Ukraińców przesiedlili na Ukrainę, a było ich dużo między Polakami. Znalazł Ojciec taką gospodarkę, co się nadawała, w Grochowcach, ale to wszystko trzeba było zaraz obejmować, bo jeżeli nie ma gospodarza, to wszystko kradli na wszystkie strony. A musiał przyjechać do Boguchwały, żeby dać nam znać, żebyśmy się szykowały. Na ten czas postarał się by kuzyn popilnował tej gospodarki i zaraz z powrotem wrócił, bo musiał tego wszystkiego strzec. Później przyjechał drugi raz. Ja się spakowałam najpierw i pierwsza pojechałam do Ojca, a siostry potem, bo chodziły do szkoły i nie mogły tak zaraz.

Rodzina znowu razem

Rodzina Ojca doradzała mu bardzo, żeby się ożenił, lecz Ojciec bardzo się bał, czy znajdzie matkę dla dzieci i sam wielką troską nas otaczał. Gdy znalazłyśmy się wszystkie pod jednym dachem, był nam wszystkim, troskliwym Ojcem i Matką, i uczył nas wszystkiego. I tak pracując na tej gospodarce od 1947 roku powoli z pomysłami Ojca i z Bożą Pomocą gospodarka się rozwijała. Do kościoła miałyśmy niedaleko, około jednego kilometra. Młodsze siostry się uczyły, a starsza siostra, Kazia, wyszła za mąż w 1952 roku i przeniosła się do drugiej wioski. o dwa lata młodsza ode mnie siostra, Zofia, po szkole otrzymała już pracę w biurze i zamieszkała w Przemyślu. I tak zostałam przy Ojcu z najmłodszą siostrą, Krysią, która się uczyła w szkole, więc moje pragnienie wstąpienia do klasztoru nie miało widoku. Nie mogłam zostawić Ojca samego na gospodarce.

A na wspomnienie o klasztorze wszyscy mi odradzali, i ksiądz proboszcz i siostry zakonne, że bez szkoły i posagu nikt mnie nie przyjmie, a zły duch przyniósł mi cierpienia, że opuścić wszystko – Ojca, gospodarkę i wszystkie obowiązki domowe będzie wielkim grzechem.

Wybór już od dzieciństwa

Tak to się przy Mamie zaczęło, jeszcze przed wywózką, w domu rodzinnym na Podolu, miałam takie pragnienie poświęcić życie Panu Jezusowi i cierpieć dla Niego. Od najmłodszych lat pragnęłam być pomocą dla rodziców w pracy,

nawet za ciężkiej na mój wiek. Już od piątego roku życia. A Mama, jak tylko miała wolną chwilę, opowiadała nam o małych bohaterach, jak to podejmowali pracę w cierpieniu i wszystko, co ich spotykało, znosili w milczeniu dla Pana Jezusa, bez uzalania się. a najczęściej nam opowiadała o Panu Jezusie i Matce Najświętszej, aby dać nam przykład do naśladowania, że tylko przez Krzyż droga do nieba, ucząc nas nie tylko słowem, ale i przykładem swoim. Wzrastając w tym, pragnęłam naśladować Pana Jezusa, korzystając z każdej okazji do umartwiania się bez zastanawiania, ile mnie to kosztuje.

Dojrzewanie do klasztoru

A teraz w tym swoim cierpieniu i rozterce pozostało mi jeszcze mocniej uciekać się w modlitwie do Maryi i Jezusa o pomoc w tej sprawie i zostałam pocieszona, że mam tylko ufać, a na wszystko przyjdzie czas, bo wszystko ma swój czas. Nie ustawałam w modlitwie.

Jakby nowe siły po przeżyciu błogosławieństwa we śnie weszły we mnie, zaczęłam robić porządki we wszystkich kątach, pobieliłam mieszkanie, w stajniach, w ogrodzie porządki przedzimowe itp. wszystko w tajemnicy, nikomu się nie zwierając, chociaż zły duch nie przestawał mnie gnębić, że to będzie grzeszne tak opuścić wszystko. Aż kiedyś przeczytałam u św. Mateusza , że kto dla imienia Jezusa zostawi wszystko, stokroć więcej otrzyma i życie wieczne odziedziczy. Więc poznałam, że to nie jest grzechem, że w klasztorze będę się przecież modliła za Ojcem, którego bardzo kochałam , i za siostry swoje, a warunki tak się ułożyły na ten czas, że młodsza siostra, Zosia, poszukiwała sobie innej pracy i była w domu, więc ostatecznie mogłam Ojca zostawić z dwiema siostrami na gospodarce. Wtedy poszłam do Karmelu zapytać, czy mnie przyjmą bez posagu i bez szkoły. Po otrzymaniu odpowiedzi na pytanie, że mogą mnie przyjąć nawet zaraz, wymówiłam się , że to niemożliwe, bo w domu nic nie wiedzą. W domu, Ojciec planował różne zakupy z moją pomocą. Korzystając z tej okazji zgodziłam się pójść z Ojcem, ale proszę jednocześnie Ojca, żebym chciała wstąpić do klasztoru . Ojciec po chwili milczenia mówi, kto cię tam przyjmie. Odpowiedziałam Ojcu, że już się dowiedziałam, że mnie przyjmą w Karmelu w Przemyślu, a Ojciec ze łzami w oczach powiedział, przecież masz swoje lata, możesz sobie obrać jaką chcesz drogę życia. Widziałam w tym Boże działanie na tak prędką zgodę Ojca. Poszłam jeszcze tego samego dnia z Ojcem do miasta po zaplanowane zakupy, dał mi pieniędzy na kupienie mate-

riała na czarną sukienkę i materiału na bieliznę osobistą. Siostra była krawcową, uszyła mi to wszystko nie wierząc, że ja tam długo wytrzymam.

Karmel

W ciągu tygodnia odwieźli mnie do Karmelu, 30 września 1954 roku. Na wsi nikt o tym nie wiedział. Próba trwała przez rok, ale obłóczyny odbyły się dopiero w 1957 roku, 13 stycznia. ...przyjęłam imię Maria Michaela od Matki Boskiej Jasnogórskiej. Po roku zostałam przyjęta do złożenia świątych ślubów czasowych na 3 lata. Złożyłam śluby 14 stycznia 1958 roku.

Wizytki

Do Wizytek przyjechałam 14 stycznia 1961. Po pół roku próby przyjęłam imię zakonne Maria Zofia, a po roku, po nowicjacie, 6 sierpnia 1962 złożyłam śluby święte wieczyste.

Jestem szczęśliwa, że Pan Jezus dzielił się ze mną Swoim Krzyżem przez całe moje życie, ufam Mu do końca życia.

WARSZAWO

*Budowana z pamięci, krwi i ran śmiertelnych
stałaś się znowu ciałem, słowem i westchnieniem.
Dziś uderzenie serca, choćby nawet celne,
nie wzruszy mnie tak bardzo jak Twoje kamienne.*

*Imię Twoje odmawiam jedyną modlitwą
za rozstrzelanych, zmarłych i za niepodległych.
O każdą Twoją klęskę będę toczył bitwę,
byś była ze zwycięstwa, natchnienia i cegły.*

*Bo ziemia Twoja nie jest z ziemi, ale z nieba,
żywiła często głodem, lecz częściej pragnieniem.
Ułamek Twego muru jest kawałkiem chleba,
a kropla wody z Wisły największym wzruszeniem.*

Zbigniew Bienkowski

POWRÓT Z WOJNY

Synowi 1939

*Ciężką mi była ta żołnierska dola,
gdy szedłem przez bagna, lasy i pola,
powracając z wojny – okrutnej i krwawej –
do swoich, do Firmy, do biednej Warszawy
brudny, zmęczony, głodny, zrozpaczony.
Cywilne spodnie i sweter zawieszony
zastąpić musiały mundur oficerski
– świadectwem będąc poniesionej klęski!*

*We wsi Piaski, pod miastem Lublinem,
mundur, broń, granaty chłopu zostawiłem,
z przysięgi żołnierskiej przez Wodza zwolniony,
bym mógł iść do Firmy, do swoich, do Żony.*

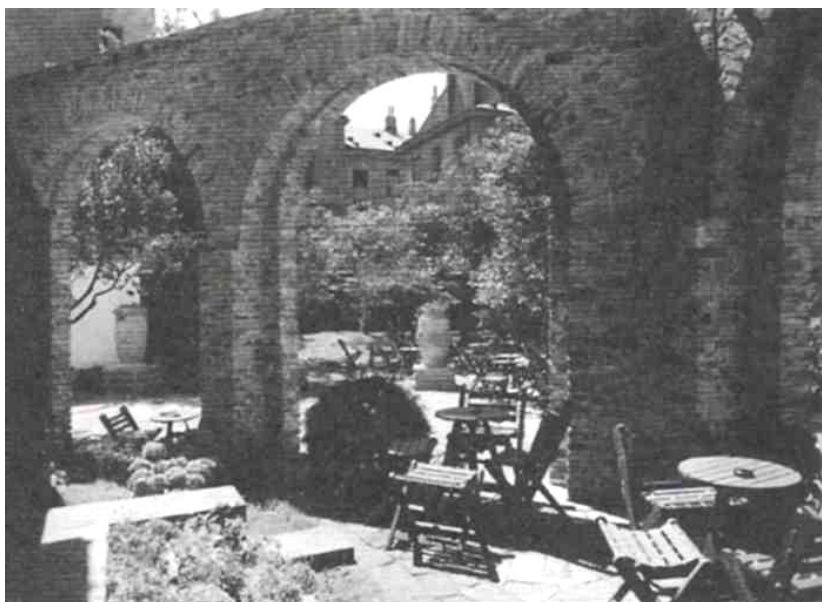
*Z trudem wlokąc po ziemi obolałe nogi
omijałem miasta, jak i główne drogi,
brodziłem też po rzekach, by nie spotkać Niemca
i nie zmienić doli w wojennego jeńca.
Różnie prowadziła ta do domu droga;
wypatrując wszędzie podstępного wroga,
raz kiedyś skręciłem gdzieś w wiejską ulicę
– tak to uniknąłem kuli w potylicę.*

*Tydzień już tak szedłem w deszczowej pogodzie,
żywiąc się po chatach, a czasem o głodzie,
Jak kruki nad głową krążyły zwątpienia,
to znów w sercu wzrastała nadzieja,
że biedna moja Żona, która rodzić miała,
może z dzieckiem żyje – może ocalała...
Aż wreszcie – było to już dnia ósmego,
doszedłem do mostu Poniatowskiego.
Omijając dziury i bombowe leje,
nie czując już zmęczenia, pobiegłem w Aleje.
Tam, za rogiem, przy klubie stanąłem zdyszany,
zobaczywszy domu nieruszone ściany.
Wszedłem do mieszkania – Żona w łóżku leżała,
gdy ją całowałem, ręka mi wskazała
na koszyczek mały, przykryty muślinem
i mi powiedziała: „teraz ciesz się synem”.
Leżał w tym koszyczku w serwetki spowity,
szalikiem swojej Mamy od zimna zakryty,
okna były wybite, zakryte deskami,
zimno było w pokoju – tak leżeli sami...*

*Ostrożnie wyjąłem maleństwo z koszyka,
a było to dnia ósmego października,
i było już pod wieczór, gdzieś piąta godzina,
kiedy po raz pierwszy przytulilem Syna,
I od tej godziny, ten mój chłopiec mały,
zasłonił mi wszystko... zasłonił świat cały...*

Jerzy Blikle

z książki „Pamiętnik niedzielnego poety”



Latona, 1939 r.

...Z OKUPACJI

*Czy ja kiedy zapomnę bomb złowieszczych wycie
w zaciemnionej Warszawie w jasnym blasku księżycy?
Czy ja kiedy zapomnę, jak to drżała ziemia,
jak mi drzewa w Latonie użyczały cienia,
gdy z gaśnicą w ręku – do obrony gotów,
swoją dyżur pełniłem w czasach nocnych nalotów?!*

*Nie zapomnę także, jak składałem dłonie
do Anioła Stróża, by stanął w obronie,
by w noc jedną taką – groźny wojny płomień
nie zniszczył mi Firmy, pracy trzech pokoleń.
By zachował mi Syna, mnie i moją Żonę,
by zachował mą Firmę, jej córkę, Latonę,
co wyrosła wśród kwiatów, wielkich drzew zieleni,
kolorami grając wśród słońca promieni...*

*Czulem się jak okręt na sztormowej fali,
co raz wznosi się w górę, a później w dół wali.
Czy dopłynę do brzegu, którego nie widać?
Bałem się wtedy losu o to pytać.
Bo jednak gdzieś w sercu, gdzieś w skrytości ducha
istniała mała nadzieja, nieśmiałej myśli nić krucha,
że może kiedyś wypłynę na spokojne wody,
by doczekać się w życiu mym pogody,
bym mógł kłaść się do łóżka jak dawniej bez lęku,
i by nie słyszeć swojej duszy jęku,
że Firma, która tyle wojny przetrzymała
w jedną noc taką pójdzie w gruzy cała!*

*Boże Dobrotliwy, w miłosierdziu hojny,
uratuj nas wszystkich od pożogi wojny
i wy, duchy mych przodków módlcie się wraz ze mną,
by dobry Bóg rozjaśnił tę przyszłość przede mną,
by ocalił Firmę od zła i mocy czarta
i by wreszcie nadeszła lepsza jej losu karta.
I odtąd, gdy rano mówię swe pacierze,
modlitwę tę włączam i nadal w to wierzę,
że Firmę moją chronią moich przodków cienie
i że ona przetrwa w piąte pokolenie!*

Jerzy Blikle



Barykada powstańcza na Nowym Świecie, 1944 r.

AB URBE CONDITA

Zaraz nazajutrz, tj.:
 Dnia Osiemnastego Stycznia roku Tysiąc Dziewięćset
 Czterdziestego Piątego,
 Kiedy skwierczące miasto
 Dogorywało jak ofiarna jałowica na religijnym stosie
 I tymi drgawkami kończyn świadczyło o życiu,
 Które było śmiercią,
 I dyszało, konając, czadem spalenizny,
 Jak sierść całopalnego zwierzęcia;
 I kiedy po drabinach dymu
 Już się w niebiosa wspinała Warszawa,
 Aby dalekim prapokoleniom
 Na wysokościach
 Zaświecić kiedyś mitem astralnym,
 Ognistą legendą,
 A tutaj zostać wygasłym kraterem,
 Kraterem wulkanu do dna wykrwawionym –
 Dnia Osiemnastego Stycznia roku Tysiąc Dziewięćset
 Czterdziestego Piątego,
 Na rogu Ruin i Kresu,
 Na rogu Gruzów i Śmierci,
 Na rogu Zwalisk i Zgrozy,
 Na rogu Marszałkowskiej i Jerozolimskiej,
 Co padły sobie w płonące objęcia,
 Żegnając się na zawsze, całując płomiennie –
 Zjawiała się pękata warszawska babina,
 Nieśmiertelna paniusia z chusteczką na głowie,
 Postawiła dnem do góry, skrzynkę na ruinach,
 Podparła ją – meteorom; jakimś szczątkiem Miasta
 I zawołała nieśmiertelnym tonem:
 „Do chierbaty, do chierbaty,
 do świeżego ciasta !”

Nie widziałem jej, ale widzę:
 Łzy się toczą
 Z jej – mimo wszystko – uśmiechniętych oczu.
 Mogła się zjawić Niobą-Zalobą,
 Furią wieszczącą, panią Hiobową,
 Rachelą, dzieci swoje płaczącą –
 I też by jej uwierzono.

Mogła przyfrunąć wiedźmą na mietle
 Czy upiorzycą w krwawiącym świetle
 Dnia zgliszczowego –
 I też by jej uwierzono.

*Mogła – bajeczna Wielka Piotrzyca –
W patos jambiczny zestroić słowa,
Że nowy wstanie gród z rumowisk
„Na złość dufnemu sąsiadowi” –
i też by była prawdziwa...*

*Mogła stanąć na skrzynce wzniosłym monumentem,
Upozować się pięknie i zadeklamować:
„Per me si va nella citta dolente” –
i nikt by się nie zdziwił.*

*Ach, mogła wreszcie, Klio nie Klio,
Liwiusz w spódnicy
Siąść na kamieniach wymarłej stolicy
I byle gwoździem na byle cegle
Wyskrobać tytuł:
„Od założenia miasta” –
ale ona – inaczej:
„Do chierbaty, do chierbaty,
do świeżego ciasta !”*

*Założycielko ! Pionierko, Muzo !
Dziś – stuk i łomot w całej Warszawie
Ku twojej sławie !
Dziś każdy murarz każdą nową cegłą
Pomnik twój wznosi !
I cała Polska – paniusiu! Paniusiu ! –
Wieczność twą głosi.
Wola gdyński port – sława !
Wolają warsztaty łódzkie – sława !
Śląskie kopalnie i huty – sława !
Wrocław – miasto wojewódzkie – sława ! sława !
Szczecin – miasto wojewódzkie – sława ! sława !
Sława królowej w koronie ruin,
Której na imię po prostu Warszawa !*

Julian Tuwim

*Ab urbe condita (łac.) – od zbudowania miasta.
Per me si va nella città dolente (wł.) – „Przeze mnie droga
w miasto utrapienia” (Dante, *Piekło*)*

*Nad Wisłą wstaje
WARSZAWSKI DZIENÍ...*



FUNDACJA
Moje Wojenne Dzieciństwo

